NUMER 52. DNIA 27-go GRUDNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

TRZY OPŁATKI.

Wspomnienie spisane według opowiadania.

II.

Lata minęły, los-opiekun niszczący wszelkie zamiary ludzkie, położył swą ciężką rękę na naszem gronie, jednych zimna, obca mogiła pokryła, inni rozproszyli się po dalekich krańcach Europy.

I my pospieszmy za nimi.

Niby miasto, niby wieś, ulice szerokie, domy kilkapiętrowe przylegają do małych dworków, otoczonych ogrodami, obok uliczki wązkie, ciasne z maleńkiemi lepiankami z chrustu.

Świątynie Pańskie dziwnego kształtu, ciężkie, niezgrabne, nad niemi krzyż trójramienny. Tu znowu budowla wielka, mury jakieś dziwne, wiekowe, na nich freski w kształcie hieroglifów, obok wystrzela w górę okrągła wieżyca, otoczona w górze galeryjką, z której muezin zwołuje wiernych na modlitwę, a nad nią złoty półksiężyc lśni w słońcu, zdziwiony, że pozostał sam jeden z pośród licznych towarzyszy.

Na ulicach różnobarwne tłumy ludu, obok europejskiego cylindra baranie czapki tuziemców, fezy i zawoje tureckie, czapeczki albańskie i czarnogórskie, wraz z charakterystycznymi ich strojami. Przechodzeń chce pochwycić dźwięki mowy, prawie niepodobna, coraz inne, coraz dziwaczniejsze uderzają jego ucho.

Spieszmy na kraj miasta, wkrótce ognista kula słoneczna zapadnie za horyzont, — a to dziś 24 grudnia!

Domek napoły wiejski, z ganeczkiem, w ogrodzie, przez furtkę ogrodową wchodzimy, witają nas dźwięki mowy ojczystej.

Wewnątrz jasno, wesoło, przez szeroko otwarte okna napływają fale słońca. Gwar i ruch dokoła, do uczty wigilijnej kończą przygotowania. Tylko gromadka dzieci stoi w kąciku z minami tajemniczemi, wskazując sobie nawzajem drzwi szczelnie zamknięte od sąsiedniego pokoju, a gdy które głos podniesie, to najstarsze czarnowłose dziewczątko, kładąc paluszek na buzi przywołuje śmiałka do porządku słowy:

— Cicho... sza... aniołek się zgniewa, nie przyniesie nam choinki... a przecież wiecie dobrze, że on teraz przez okno wnosi drzewko i zabawki dla nas...

Wnet się ucisza, jasne i ciemne główki pochylają się ku sobie, z tajemniczym szeptem.

Współbiesiadnicy zebrani, rojno i gwarno w domku, okna zamknięto, bo chłód powiał od niebotycznych gór, pokrytych białym całunem, w których odbija się bladolicy księżyc miljardami skier djamentowych.

Zebrani przedstawiają różne wybitne u nas epoki: są białe głowy organizatorów ruchu 1848 r., ich dzieci zrodzone na obczyźnie, marzące o poznaniu tej Wyśnionej, Wymarzonej, Ukochanej, którą znają tylko z opowiadań ojców i z książek i gromadka małych wnucząt, szronem pobieleni ci, którzy walczyli w 1863 r. i młodzi, których różne spiski i „bunty“ przeciw carowi aż tu zapędziły.

Rozmowa ożywiona, wiadomości z Polski wszystkich zajmują.

Naraz z pośród zebranych wysunęła się w czarnych szatach poważna, srebrnowłosa matrona, matka pani domu, babcią zwana przez całą kolonję, bo gronko wnucząt ją otaczało. W ręku trzyma śnieżny płatek a podając go najstarszemu wiekiem rzekła głosem wzruszonym:

-- Przełammy „o p ł a t e k z k r a j u".

Na te magiczne słowa wszystkie głowy się pochyliły, w niejednem oku łza zabłysła, a serca uleciały do ukochanej Ojczyzny, tam w tej chwili, na całym obszarze ziem polskich, od pałaców do chat, wszyscy dzielą się opłatkiem. — Czy tam ich kto jeszcze wspomina?

I przed oczyma tułaczy zalśniły bezbrzeżne płaszczyzny pokryte całunem śniegu, jasno blada tarcza księżyca zawisła na stropie, odbijając się iskrami djamentu, w śnieżnej powłoce ziemi. W dali czernieją odwieczne bory, cisza majestatyczna dokoła. Sanki mkną szybko, unosząc wiernych na pasterkę. Wjeżdżają w las, cienie nocy dokoła, tylko fantastyczne smugi światła przebijają się przez sosny, których korony hen w górze, ku niebu, tworzą jakby baldachim, gałęzie ich uginają się pod ciężarem śniegu, który z lekkim szmerem spada na głowy jadących. I znowu polana śnieżna, w dali migają światełka, już słychać srebrny dźwięk sygnaturki, naraz wszystkie dzwony się rozkołysały, pieśń ich spiżowa płynie w dal nocną. Przez drzwi kościelne płyną fale światła z ołtarzy, a z piersi nabożnych unoszą się ciche szepty modłów i westchnień. Z chóru drży w powietrzu znana — stara kolęda. Przed ołtarzem w kapiącym złotem ornacie ksiądz staruszek, bielutki jak gołąbek, unosząc w rękach przez pajęcze jedwabie promienistą monstrancję błogosławi nią kornie pochylone głowy ludu, którego modlitwa w jakiś jęk prośby i skargi przechodzi. Monstrancja unosi się w górę, w tej chwili pierwsze promienie wschodzącego słońca, padając na nią, tworzą aureolą złotą, nad białą głową księdza, którego głos drży w powietrzu błagalnemi słowy:

„*Salvum fac populum tuum Domine!*"

. . . .

Nagle nieśmiały głosik dziecięcy przerywa ciszę.

— Aniołek nie zechce czekać, — odleci i nam nie da drzewka!...

— Prawda „aniołek nie zechce czekać" -- więc biedni tułacze drżącą ręką, z czcią religijną łamią „o p ł a t e k z k r a j u"...

Skromna biesiada dobiega końca, — z pokoju przez zamknięte drzwi zalatują ciche dźwięki:

„W żłobie leży
Któż pobieży"
. . . .

— Aniołek! aniołek! tam jest — zawołał naraz chór dziecięcych głosików.

Przez szeroko otwarte drzwi ukazała się oczom, olśnionej tym widokiem dziatwy, przepyszna choinka skrząca kolorowemi świeczkami, ozdobiona mnóstwem łakoci, u stóp drzewka na małym stoliczku podarki, — była tam książeczka z Polski dla starszej dziewczynki i elementarz dla młodszej, lalki, koniki, gospodarstwa, słowem aniołek o wszystkich pamiętał.

Ile tam było wybuchów radości, ile wykrzykników podziwu, zachwytu, ile srebrnego śmiechu, któż zdoła powtórzyć.

Dziatwa promieniała radością a i starszym lica pojaśniały.

A z pod wprawnych palców młodego pianisty płynęły smętną, rzewną falą jedna za drugą kolędy, przenosząc obecnych w zaczarowaną krainę przeszłości.

Naraz silniejszy akord, -- i jak grzmot uderzył o ściany domku hymn narodowy.

Na ten dźwięk dziatwa rzuca zabawki, poważnie otacza kołem grającego i śpiewa choralnie:

„Jeszcze Polska nie zginęła!
Póki my żyjemy"
. . . .

Starsi z łzą rozrzewnienia patrzą na tych najmłodszych i wstępuje w nich nadzieja, że istotnie „nie zginęła" — jeśli dziatwa urodzona i wychowana na obczyźnie tak czuje. — I powolnie łączą swe głosy z chórem dziatwy a pieśń potężna jak huragan przebija ściany dworku, leci w dal przejrzystą, odbijając się echem w ciszy nocnej o niebotyczne granitowe góry!

III.

Upłynęło lat kilka, — huragan straszny przeleciał nad naszą drużyną, -- jednym garść obcej ziemi rzucił na oczy! — innych złamał — zdruzgotał — rozrzucił po szerokim świecie!...

Dziwnem zrządzeniem losu jeden ze znanej nam gromadki, po latach, wraca do kraju, — wyszedł młodzianem, wraca starcem prawie, z głową posrebrzoną szronem.

I znowu wigilja Bożego Narodzenia...

Miasto całe pokryte grubą warstwą śniegu, sklepy zamknięte, sanki z błyskawiczną szybkością przebiegają ulice, wszyscy dążą na ucztę rodzinną i nasz tułacz spieszy do znajomych; ongi znał ich dziećmi, dziś to ludzie dojrzali.

Pokoje jasno oświecone, szelest jedwabi, koronek, dyskretny szmer rozmów. Stół lśniący srebrem i porcelaną. Pan domu z opłatkiem w ręku, chcąc uczcić z dalekich stron gościa, najpierw przysuwa się do niego.

Po tylu latach! — tułacz ma przełamać opłatek na ziemi ojczystej. Wzruszenie głos mu tamuje. Gospodarz podaje opłatek, mówiąc:

— Zwyczajem pradziadów podzielmy się tym opłatkiem, choć to prosta, czcza forma tylko!

Te słowa jak zimna woda oblały marzyciela, głos załamał mu się w piersiach, — i zaledwie parę słów banalnych były jego odpowiedzią.

Świetna wieczerza ciągnęła się bez końca; teatry, koncerty, wieczorki, wreszcie małżeństwa znajomych, zajmowały zebranych. Pod koniec pan domu zwrócił się do dwojga dzieci siedzących przy końcu stołu.

— Janku, Marylko — idźcie zapalić świeczki na choince.

— Jakto? to nie aniołek przynosi drzewko, nie on je zapala? zapytał gość z dalekich stron.

— Aniołek!? — zawołał gospodarz domu, na co te mistyfikacje, one wiedzą dobrze, że aniołki po świecie nie chodzą, minęły czasy romantycznych duchów, nasze dzieci są wychowane praktycznie, życie ciężkie, poezji w niem niema!

Drzewko uginało się pod ciężarem cukrów i podarków, dzieci spoglądały na wszystko okiem znawcy, krytycznie, z odcieniem znudzenia.

Nasz znajomy ujął za rączkę dziewczynę i zapytał:

— No cóż dziecino, nie cieszysz się gwiazdką?

— Mam się cieszyć gwiazdką? to takież same co roku, zresztą sami ubieraliśmy ją, od kilku dni znam to wszystko, niema nic nowego.

— A zanuć mi Marylko jaką kolędę.

— Nie umiem żadnej.

— No to zaśpiewaj: „Jeszcze Polska nie zginęła".

— I tego nie umiem.

— Jakto a w szkole na obchodach, wieczorkach nie śpiewacie?

Nie.

— A do jakiej szkoły chodzisz, kochanie?

— Do niemieckiej.

— Do niemieckiej!... czy podobna?...

— Tak, do niemieckiej oboje chodzą, — wtrącił pan domu, czy pan nie wiedział o tem, że mamy i niemieckie szkoły?

— Z dzienników wiedziałem, uważałem je, jako zło konieczne dla napływowych tu familji niemieckich; ale nigdy nie przypuściłem nawet, aby Polak śmiał oddać swe dziecko do szkoły naszych odwiecznych wrogów. Wybaczy pan, będę szczerym, tyle lat żyłem pomiędzy obcymi, poznałem ich dobrze, — tam u tych maleńkich narodków wolnych, które my uważamy za półdzikie, gdyby kto śmiał posłać swe dziecko do szkoły tureckiej, toby mu żaden jego rodak ręki nie podał, uważaliby go wszyscy za zdrajcę ojczyzny; oni są z tego dumni, chlubią się tem, że w tak krótkim czasie doszli do szkół swoich narodowych. A gdyby się znalazł śmiałek, któryby się odważył założyć szkołę turecką, niech mi pan wierzy, takie słodkie życie urządziliby mu jego rodacy, że do 24 godzin musiałby opuścić granice swej ojczyzny.

— Tak, ja to wszystko uznaję, lecz teraz niemiecki język konieczny, bez niego trudno się czegoś dobić, nawet dziewczynie; — panu się to wydaje dziwnem? ale czasy wasze, czasy romantyzmu dawno minęły, praktycznie, przedewszystkiem praktycznie trzeba wychowywać przyszłe pokolenia; nie entuzjazmować przeszłością, nie rozgoryczać do teraźniejszości, bo życie nasze dość gorzkie...

. . . .

Wsparty o żelazną balustradę mostu, tułacz-wygnaniec stoi ciężko zadumany, kamieniem padły mu na serce usłyszane słowa. U stóp jego rzeka pieni się, huczy i huczy, gorszy jednak huragan szaleje w jego piersi.

Jakto więc aż tak „praktyczni" są teraz tu w kraju? — Tam o setki mil od Ojczyzny, ci którzy mieli dzieci, odejmowali sobie od ust, aby swą dziatwę posłać do Polski, aby mogła się uczyć w języku swych ojców, — a ci, którzy są

tu na miejscu, szukają szkół obcych, w których panuje język i duch naszych wrogów, — oni, Polacy, popełniają taką zdradę, taką zbrodnię narodową, i to śmią nazywać praktycznem wychowaniem?

I oni śmią się zwać patrjotami! czyż niema u nas opinji publicznej, którąby piętnowała zdradę narodową, czy u jednostek zamarło poczucie godności narodowej, że nie czują tego, iż takie ich postępowanie, które przez nich spada na cały naród, jest piętnem hańby i zdrady!?

Burza wre w piersi wędrowca, a oko ze smutkiem i miłością niewysłowioną spoczywa na mieście, wznoszącem się amfiteatralnie, w którem okna oświecone migają, jak gwiazdki, — na rzece mknącej, pod lodowemi kajdanami, do królowej rzek polskich, — na wzgórzu, na którem rysują się ruiny dobrze zachowanego starego zamczyska, pamiętającego wieki zamierzchłe, na bezmiernej równinie pokrytej całunem śnieżnym.

W tem ozwały się srebrne dźwięki sygnaturek kościelnych, powoli rozkołysały się wszystkie dzwony, i ten hymn spiżowy, radosny, leciał — płynął w dal, hen, ku niebu, zwiastując Narodzenie Pańskie, — a z pobliskiej świątyni wraz z falą gorejących świateł płynęła potężna pieśń narodzenia:

„Bóg się rodzi, moc truchleje“

. . . .

Tułacz - wygnaniec zadrżał na te dźwięki, tłum wspomnień obległ mu duszę, łzy w oku zabłysły.

Tak! — on gorąco umiłował tę ziemię mogił i krzyżów, chciałby przygarnąć ją do łona, dziś jeszcze, gotówby jak przed laty, ostatnią kroplę krwi, resztki sił starganych jej oddać, — i nie on jeden wierzy w to głęboko — miljony jest takich. Wyjątki nie stanowią ogółu. „Historja obojętnie kartę ich odwróci, i pochodnię życia zagasi nad nimi“, bo „Upaść może i naród wielki, — zniszczeć tylko nikczemny!“

J. Z. A.

NAD GROBEM SPENCERA.

Znany filozof polski, Henryk Struwe, który osiedlił się w Londynie, nadesłał „Kurjerowi Warszawskiemu“ opis pogrzebu Spencera, z którego powtarzamy następujące szczegóły:

„Na zwykłych pogrzebach w Anglji niema zwyczaju wygłaszać jakichkolwiek mów. I kościelny pogrzeb odbywa się bez nich. Duchowni ograniczają się odmawianiem krótkich modlitw. Tym razem jednak zmarły wyraził życzenie, aby przed spaleniem zwłok w Golders Green miał mowę przyjaciel jego, John Morley, znany autor prac filozoficznych, oraz wydawca dzieł Emersona. Gdyby on tego uczynić nie mógł, ma go zastąpić Leonard Courtney, autor biografji J. St. Milla oraz Etyki, opartej na zasadach Kanta. Otóż, ponieważ p. Morleya niema w Anglji — bawi obecnie w Palermo, zkąd nie mógł na czas przybyć, — przeto przy pulpicie stanął p. Courtney, mąż wiekowy, i przemówił do zebranej publiczności.

Mowa jego była prosta, naturalna, bez wszelkiego patosu, lub retoryki, ale wywołała na słuchaczach głębokie wrażenie właśnie tą swoją szczerą prostotą. Trudne zadanie, mówił, dostało mu się w udziale scharakteryzowania osoby i dzieła zmarłego filozofa. Trudność ta tem jest większa, gdy się pomyśli, że cały świat naukowy bierze żywy udział w jego zgonie. Pomimo to, musi być posłuszny życzeniu przyjaciela, z którym łączyły go blizkie stosunki od lat dwudziestu. Wszyscy, znający jego działalność piśmienniczą, na myśl o jego zgonie, przejęci będą przedewszystkiem szczerem uznaniem dla jego wielkiego dzieła: „Systemat filozofji syntetycznej“. Wielkiem jest ono już w samym planie i zarysie, ogłoszonym w r. 1860; lecz nie mniej wielkiem w swojem stopniowem wykończeniu w przeciągu trzy-

dziestu sześciu lat. A w tem stopniowem wykończeniu uwydatnia się zarazem wielki charakter tego męża, który żył tylko dla swego dzieła i doprowadził je do ostatecznego końca, pomimo różnorodnych, często bardzo poważnych trudności, jakie napotykał zarówno w jego napisaniu, jak i wydaniu. Gdy przezwyciężył przy udziale nadzwyczajnej energji pierwsze trudności, drugie wydawały się nieprzezwyciężonemi, z powodu niechęci nakładców, oraz braku własnych środków na wydanie licznych i obszernych tomów dzieła. Dopiero niespodziewana pomoc przyjacielska z poza Atlantyku umożliwiła urzeczywistnienie pierwotnego planu myśliciela. Ale jakie to też wspaniałe dzieło! Jakie wielkie obejmuje bogactwo badań szczegółowych oraz szerokich uogólnień! W jego skład wchodzą wszystkie nauki, całe dzieje rodu ludzkiego, wszelkie objawy myśli i wiary, wszelkie zwyczaje i obyczaje narodów, wreszcie instytucje społeczne, w najrozliczniejszych swych formach. A to wszystko przeniknięte harmonijnie jedną wyrazistą ideą stopniowego rozwoju i postępu od najprostszych zawiązków aż do najpełniejszego rozkwitu! Konsekwentne przeprowadzenie tej idei zasadniczej stanowi też niespożytą zasługę Spencera jako myśliciela.

Ale Spencer — mówił dalej Cortney — był zbyt wielkim filozofem, aby w swym syntetycznym poglądzie na świat nie miał dotknąć i najwyższych zagadnień istnienia. Jedno z takich zagadnień mamy tutaj przed sobą. Potężny ten mózg, który jeszcze przed kilku dniami obejmował myślą wszechświat nieskończony, przestał działać. Ciało wielkiego badacza obróci się wnet w garść popiołu. Czy jednak myśl, świadomość jego zniknęła wraz z przerwaniem czynności mózgu? Czy osobistość, która żyła w tych skromnych szczątkach, nie jest czemś więcej niż one, czemś niezniszczalnem? Ten tu mózg przedkładał sobie te i wiele innych, równie tajemniczych zagadnień, ale ich rozwiązanie uznawał za przekraczające jego zdolności. Niepoznawalne było dla Spencera dziedziną daleko większą, niż dziedzina dostępnych dla nas prawd. Ale z tem wszystkiem, to uważał za pewnik niezwruszony swej życiowej działalności, że bez bez względu na to, co go czeka w przyszłości, powinien pracować, póki dzień jest, około urzeczywistnienia najwyższych celów żywota ludzkiego, że życie swe poświęcić winien Najwyższemu Dobru. Spoglądając na długie lata, przeżyte przez Spencera, wyznać należy, że tego pewnika się trzymał równie szczerze i sumiennie, jak ci, którzy dochodzą do bardziej stanowczego rozwiązania zagadki istnienia. Więc do tego ducha, który go ożywiał i w jego dziełach się ujawniał, powiedzieć możemy bez zastrzeżeń: *Farewell!*

Po mowie zapanowała pośród zebranych uroczysta cisza. Oczy wszystkich zwrócone były na trumnę. Otwór, przed którym stała, rozwarł się na wewnątrz, a sama trumna wciągniętą została do niego bez widzialnej pomocy, niby pochłonięta jakąś tajemniczą siłą. Znika tedy z przed naszych oczu, a drzwi żelazne otworu znowu się same zamykają. Wszyscy widocznie zajęci byli głęboko tem ostatniem pożegnaniem.

Po chwili, wielka hala zamieniła się na zwykły salon, w którym zebrani swobodnie z sobą rozmawiali. Niektóre osoby podeszły do pana Courtneya i dziękowały mu za jego przemówienie. Wśród tych osób nikt nie był w żałobie, bo zmarły prosił, aby po nim żałoby nie noszono. Zresztą nie pozostawił po sobie blizkich krewnych, bo przeżył swoje rodzeństwo, a sam rodziny nie posiadał, gdyż nie był żonaty. Do najbliższego grona jego przyjaciół należeli tu obecni: pani i dr. H. C. Bastian, lekarz i autor prac o darwinizmie, pani Tyndall, dr. H. Thompson, znakomity chirurg, M. Foster, członek parlamentu, Leonard Huxley, R. Garnett, znany poeta i dyrektor Brytańskiego Muzeum, Fr. Galton, podróżnik, prezes instytutu antropologicznego i inni. Wszyscy oni otoczyli p. Courtneya. W końcu przedstawiono i mnie, a gdy usłyszał, kto jestem, powiedział, że zna Warszawę i że bierze szczery udział w życiu umysłowem Polaków; zarazem zapytał: czy istnieją też przekłady polskie dzieł Spencera?

Zaledwie zdołałem dać na to pytanie twierdzącą odpowiedź i rozpocząć bliższe jej wyjaśnienie, gdy wśród zebranej publiczności odezwał się donośny głos młodego mężczyzny, proszącego, aby mu pozwolono przemówić do zebranych choć w kilku słowach. Zaproszono go do pulpitu, lecz nie przyjął zaproszenia i zaczął mówić w środku sali, otoczony publicznością. Była to widocznie osobistość w tem gronie mało znana. Oliwkowa cera twarzy i czarne krucze włosy

świadczyły, że to nie anglik. Pomimo to mówił wyborną angielszczyzną. W kilku zdaniach zaznaczył naukową doniosłość filozofji Spencera, oraz potrzebę dalszego jej dopełnienia w kierunku, zaznaczonym przez wielkiego myśliciela. Pragnąc przyczynić się do zaspokojenia tej naukowej potrzeby, mówca zaznacza, że przeznaczył tysiąc funtów (około 10.000 rubli) na utworzenie katedry, propagującej filozofję Spencera przy uniwersytecie oksfordzkim. Pomimo szczerego uznania dla tej dotacji, zebrani zachowali się jak najspokojniej. Widoczną tylko była ciekawość każdego dowiedzenia się, kim jest ten ofiarodawca. Wkrótce też dowiedziano się: jest nim młody uczony indyjczyk, należący do znanej w kraju swoim rodziny, a imię jego, według angielskiej ortografji: Shyamaji Krishnawarma.

FELIKS GWIŻDŻ.

Przyobiecanie Świętego Milczenia.

Jesienią pójdziesz, dziewczę, ze mną
Aleją cichą, mroczną, ciemną...

Jesienią pójdziesz — słyszysz, miła?
Odnajdziem to ustronie ciche,
Gdzie rozmawiała z Bogiem Psyche,
Gdzie światłość niegdyś wielka była...

A iżeś sercu memu droga,
Przeto w ustroniu onem cudnem
Baśń ci o Szczęściu wyśnię złudnem,
O tajemnicy wielkiej — Boga.

Długie ci będę snuł powieści
O tajemniczym dusz odlocie —
O wielkiej, wielkiej mej tęsknocie —
O hymnach, które wiatr mi wieści...

A potem przyjdzie sen, znużenie...
Zaszumi wiatr żałośnie w dali,
Jeziorny płacz się gdzieś rozżali
I przyjdzie, droga, cud: Milczenie...

Usta się nasze razem spoją,
Ogniem zapłoną nasze oczy —
Dokoła wszystko się zamroczy —
Ja będę Twój, Ty będziesz moją...

Kwestjonarjusz dla badania kultury ludowej.

(Dokończenie).

19. Jakie jej wymiary?

20. Co w sobie mieści?

21. Jak są ustawione ławy, stoły, skrzynie, stołki, listwy ozdobne? Jakie wiszą obrazy? Jakie ramy do obrazów? Jakie naczynia gliniane i statek kuchenny?

22. Jakie narzędzia gospodarcze, siekiera, pług, stępa, kosa, młynek ręczny, kobylica do międlenia konopi etc.

23. Budynki gospodarcze, ich wymiar i położenie wobec chat. Rozkład i konstrukcja, na słup czy w zamek? Czem są kryte?

24. Jak się nazywają w narzeczu miejscowem sprzęty, poszczególne części chałupy, części konstrukcyjne ścian dachu, okien i drzwi? Jak się nazywają budynki gospodarcze?

25. Jak jest zrobiona powała w izbie, jak w komorze? Jak są ułożone belki? Jakie na nich zdobienie?

26. Jaki piec: kamyczkowy czy kaflowy?

27. Jakie stroje. Czy materjał kupowany, czy własny, czy wyrobu ludowego, czy fabrycznego? Jakie portki na codzień i na niedzielę? Jakie buty, trzewiki, łapcie, chodaki, postoły? Jakie koszule, czy wyszywane? Jaki pas? Ubranie wierzchne? Ubranie kobiece? Wyszywki, chustki, wełniaki?

28. Jakie przyrządy do oświetlenia? Kaganki? lampy naftowe etc?

29. Jakie narzędzia muzyczne, piszczałki, skrzypki, drumle, liry, gęśle etc.?

30. Spisać melodje śpiewane i grane.

31. Jakie narzędzia tkackie, wrzeciona, kołowrotki etc.

32. Jakie narzędzia ciesielskie i stolarskie.

33. Jak jest uczyniony żłób dla bydła.

34. Jak jest zrobiona studnia, żóraw lub kołodzieża.

35. Jaka jest najstarsza chata we wsi?

36. Jak wedle opinji miejscowych mieszkańców budowało się dawniej i dlaczego zarzuciło się dawniejszy sposób budowania.

37. Który sposób budowania jest najlepszy, najtrwalszy, najpiękniejszy, wedle ludowej miejscowej opinji.

38. Jakie zwyczaje są przy zakładzinach. Czy się nie zarzyna kota, koguta lub kury, „ażeby na nich spadło złe w nowej chałupie".

39. Jakie są zwyczaje przy wprowadzaniu się do nowej chałupy.

40. Jakie są zwyczaje przy wprowadzeniu żony po raz pierwszy do chałupy.

41. Jakie pieśni lub przypowieści odnoszą się do mieszkania i gospodarstwa.

42. Jakie znaczenie wedle opinji ludowej mają najczęściej się powtarzające motywy zdobnicze.

Oprócz badania powyższych rzeczy, należy zdejmować fotograficznie lub szkicować dworki szlacheckie drewniane, śpichlerki i świronki, domy podcieniowe drewniane, kościoły, cerkwie, dzwonnice drewniane, kaplice, krzyże, nagrobki, bożnice drewniane i meczety po zaułkach małych miasteczek.

Zdjęcie fotograficzne lub rysunkowe powinno być możliwie wielkie i dokładne.

Należy zauważyć konstrukcję drzewa, rozkład zewnętrzny, układ i pokrycie dachu, dać rozmiary i kształt drzwi i okien, ozdoby na dachach i na ścianach.

Należy sfotografować wnętrze, ołtarz, malowania wewnętrzne w kościele, cerkwi lub bóżnicy; spytać się o stare ornaty, kielich, księgi. Zauważyć obrazy, ramy do obrazów, świeczniki, ławki kościelne, spowiednice.

W domach małomiasteczkowych obejrzeć sprzęty, narysować lub sfotografować.

Dowiedzieć się jaki jest przypuszczalny wiek badanej budowli.

Podać typ ludu miejscowego, udzielić dokładnych danych w jakiej miejscowości, powiecie, gubernji, kraju, dokonywane są badania.

Rezultaty nadsyłać łaskawie pod adresem: Kazimierz Mokłowski, Lwów Cłowa 3. wraz z podaniem imienia i nazwiska, aby w publikacji ewentualnej można było powołać się na źródło i pracę.

Kazimierz Mokłowski.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Brückner Aleksander.* Starożytna Litwa: ludy i bogi, szkice historyczne i mitologiczne. Warszawa. 1904. Nakładem Księgarni Naukowej. 8-ka, kt. nlb. 1, str. 166.

Wobec niezliczonego mnóstwa fantastycznych wymysłów, jakie namnożyły się z biegiem lat w przyczynkach do mitologji litewskiej, wprost niepodobnem było rozróżnić prawdę od fałszu, rzeczy prawdziwe od bajek, wyssanych z palca. Głoszono wszędy wiele o starożytności Litwy, a wybitni niejednokrotnie uczeni dawali się oślepić błędnym ognikom, jakie błyszczały z mitologji litewskiej, i spodziewali się po niej odkryć pierwszorzędnej wartości. Nieświadomość badaczy, a nawet nieraz rozmyślne podawanie rzeczy zmyślonych za prawdziwe, sprawiły, że to wszystko, co Indje, Eran, Grecja i Rzym wytworzyły, znalazło się razem obok siebie w mitologji litewskiej. Otrzymała tedy tym sposobem Litwa bogi etyczne i przyrody, trójcę, żywioły złe i dobre, fatum, sąd pośmiertny, bogate świątynie, szereg kultów religijnych itd. Cóż z tego, kiedy większa część tych wszystkich czarownych wierzeń była z gruntu nieprawdziwa? Dobrze tedy uczynił prof. Brückner, że zajął się przesortowaniem tego całego materjału, jaki do mitologji litewskiej zawierały kroniki polskie i obce oraz liczne prace z tego zakresu, i umiejętnie wydzielił prawdę od zmyślenia. Czynem tym nie tylko przysłużył się nauce, dając jej całokształt mitologji litewskiej, ale ponadto wskrzesił dawną dobrą tradycję, kiedy to nauka polska zajmowała się wyłącznie tem wszystkiem, co się Litwy tyczyło.

W szczegółowym rozbiorze wykazał autor, przechodząc jeden szczep litewski po drugim (a więc: Jadźwingów, Prusów, Litwinów właściwych, Żmudzinów i Łotyszów), faktyczny stan mitologji, przyczem rozbił raz na zawsze mydlaną bańkę złudzeń, jakim ulegano, spodziewając się nadzwyczajności po tem, co nie było ani starsze ani oryginalniejsze od którejkolwiek innej mitologji.

Okazało się tedy, że bóstwa litewskie dzieliły się na niebieskie i ziemskie (z niebieskich znamy tylko Perkuna), występujące w postaci męskiej lub żeńskiej. Po-

między ziemskiemi bóstwami najwyższemi były: pan i pani ziemi, poczem szły: bogi domowe, stróże pól, bogowie leśni i zwierzęcy, bogowie wód itd., a obok nich bogini losu „łajma“. Bardzo wybitne miejsce zajmował ogień, w ofiarach pośrednich między niebem a ziemią. Że w czasach pierwotnych było tych bóstw znacznie więcej, to nie ulega wątpliwości, ale pamięć o nich zaginęła zupełnie. Ponadto oddawano wielką cześć umarłym, składając im doroczne ofiary. Ofiary w szczególności składano z ludzi, bydła i płodów ziemnych. Przy jednych wróżono, przy innych nie; były błagalne i dziękczynne; miejsca ich były ustalone. A że Litwa była bardzo przesądna, to też do wróżb uciekano się przy lada sposobności. Z mitów zachował się tylko jeden: o słońcu i o bogu-kowalu. Co się tyczy kultów religijnych, to wyróżniają się trzy: Perkuna, ognia i wężów domowych i one to nadają religji litewskiej odmienny wygląd, niepowtarzający się nigdzie: ani u Słowian, ani u Niemców. Dziś oprócz kilku małoznaczących nazwisk, zwyczajów, wspomnień dalekiej przeszłości Litwa zatraciła zupełnie pojęcie dawnej wiary. *w.*

SZTUKA. *„Sztuka polska“.* Zeszyt drugi zawiera nowe cztery reprodukcje dzieł naszych najsłynniejszych malarzy. Pierwsza z nich przedstawia głowę młodej kobiety o nadzwyczajnie delikatnym, pięknie narysowanym owalu twarzy, dużych szaro-niebieskich oczach i płowo-kasztanowatych włosach. Jest to jedna z tych główek kobiecych, jakich p. Aksentowicz w ostatniej dobie swojej twórczości malował mnóstwo, podobnych do siebie w charakterze wyrażonej w nich wpółsennej jakiejś zmysłowości i kokieterji w lekko podniesionej dolnej powiece jednego oka. Różniąc się pod względem pozy, ruchu, koloru włosów itp. szczegółów, są główki te z ostatniej doby twórczości p. Aksentowicza wszystkie równe sobie w typie tak dalece, że wydaje się jak gdyby pomysłowość artysty in puncto ideału twarzy kobiecej znalazła już wyraz poza który mu wyjść nie podobna. Widać to też i w tem, że technika jego malarska nie tworzy już nic nowego, nie szuka żadnych dróg nowych; wydoskonala się tylko pod względem subtelności wyrażenia rysów tego typu, staje się coraz to bardziej wiotką, jakby dostrojoną do eteryczności modela.

Druga plansza przedstawia pejsaż p. Stanisławskiego. Daleko w głąb idący płaski teren, zakończony na widnokręgu ciemno-sinym pasem lasu, na pierwszym planie skrawek łanu dojrzałego zboża a ponad tem olbrzymi szmat nieba, oto temat, albo raczej prosty skrawek natury wykonany za pomocą środków tak prostych jakimi tylko już bardzo wielki majster posługiwać się może. W reprodukcji działanie ich jest trochę nierównomierne; teren jest dobry ale niebo z powodu papierowej suchości liljowych tonów niema głębi i sterczy płasko ponad terenem. Pózatem reprodukcja spełnia dobrze swoje zadanie, dając wiernie pod względem rysunku i koloru typ najbardziej charakterystyczny pejsażu p. Stanisławskiego, obok Ruszczyca najpierwszego dzisiaj pejsażysty polskiego.

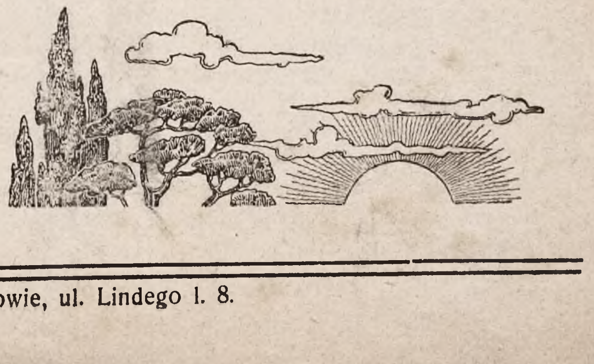
Trzeci i czwarty obraz są już mniej zajmujące. Jeden z nich jest reprodukcją „Pogrzebu“ p. Tichy'ego i przedstawia szereg zakonnic ze świecami w rękach a przed nimi karawaniarz niesie małą trumienkę. Ta scena z jakiegoś szpitaliku, dobrze pomyślana i wykonana w szczegółach rysunkowych, musi być w oryginale lepsza w kolorze; przynajmniej blaski świec na twarzach zakonnic muszą się lepiej tłómaczyć, niż na reprodukcji, gdzie są po prostu nieświecącymi wcale cynobrowymi plastrami, robiącymi raczej wrażenie jakichś hektycznych rumieńców, niż blasków światła. Ostatni obraz jest reprodukcją znanego obrazu p. Wyczółkowskiego, przedstawiającego prof. Rydygiera w gronie asystentów. Reprodukcja jest bardzo wierna i oddaje dokładnie wszystkie zalety rysunku i światłocienia cechujące to dzieło.

St. W.

NOTATKI. *Polska produkcja umysłowa w r. 1903.* „Przewodnik bibliograficzny“ podaje w ostatnim numerze za grudzień liczbę wydanych, w dobiegającym obecnie końca roku, książek i innych publikacyj. Cyfry te czerpane są z samego „Przewodnika bibliograficznego“. Otóż wyszło w tym roku książek i broszur 2.696, nie licząc czasopism.

Ogólna liczba polskich pism perjodycznych wynosi w przybliżeniu 560—580. Na 17-tu miljonowy naród jest to stosunkowo jeszcze nie wiele, zwłaszcza w porównaniu np. z Czechami, którzy na 6 miljonów ludności (bez Słowaków) mają pism perjodycznych 914. O innych pierwszorzędnych narodach nie mówimy już wcale, bo z tymi nawet porównywać się nie możemy, skoro angielskich pism perjodycznych wychodzi około 30.000, niemieckich przeszło 9000 (sama niewielka Bawarja ma ich 935) a francuskich niemal 7.000.

Cyfry powyższe, odnoszące się do książek, ulegną jeszcze modyfikacjom, raz dla tego, że rok 1903 jeszcze się nie skończył, a powtóre, że pewna część książek datowana na rok 1903 wyszła jeszcze w drugiej połowie 1902, tak samo jak wiele książek w roku bieżącym wychodzących nosi na sobie już datę roku 1904.



Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.